

SIERRA SIMONE

BITTER
BURN

On jest zemstą.
Ty – jego obsesją.

LYONESSE



SIERRA SIMONE

BITTER
BURN

LYONESSE

PRZEŁOŻYŁA
Urszula Musyl



TYTUŁ ORYGINAŁU:
Bitter Burn. Lyonesse. Book 3

Redaktorka prowadząca i wydawczyni: Ewelina Kapelewska
Redakcja: Katarzyna Sarna
Korekta: Ewa Kowalska
Projekt okładki: Wojciech Bryda
Zdjęcie na okładce: © Iuliia Pilipeichenko / Stock.Adobe.com
Wyklejka: © driftwood / Stock.Adobe.com
DTP: Maciej Grycz

Copyright © 2025 by Sierra Simone
Published by agreement with Folio Literary Management, LLC and
Graal Sp. z o.o.

Copyright © 2026 for the Polish edition by Papierowe Serca an imprint
of Wydawnictwo Kobiecte Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Urszula Musyl, 2026

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie
i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiegokolwiek techniki całości bądź
fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody
posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I
Białystok 2026
ISBN 978-83-8417-410-4

Grupa Wydawnictwo Kobiecte | www.WydawnictwoKobiecte.pl



2

Mark

Terażniejszość

NIE ŻAŁUJĘ. Uważam, że powinieneś to o mnie wiedzieć, musisz to zrozumieć. Nie żałuję. Zrobiłbym to ponownie.

To, co robię, jest egoistyczne, a wszystko, co zrobiłem od chwili pocałunku z moim ochroniarzem na dachu klubu, tak samo wynikało z egoizmu. Wszystko – odkąd zaręczyłem się z Isolde Lawrence, odkąd założyłem Lyonesse, odkąd patrzyłem, jak mój mąż wykrwawia się na śmierć w ciemności przy dźwiękach muzyki operowej.

Mogę nazwać to sprawiedliwością albo zemstą, może nawet miłością... Ale znam prawdę. Znam siebie. Pragnę. Pragnę jak wylądować wilk, pragnę jak morze, które rozbija się o skały. Pragnę bez sensu, bez końca, całym sobą.

Chcę odzyskać moją żonę. Chcę mojego ochroniarza.

Chcę zacisnąć dłonie na ich gardłach i poczuć sól ich łez na moich ustach.

Nie jadę zwykłą drogą do Morois House, tylko parkuję kilka kilometrów wcześniej, na prywatnej nieoznaczonej ścieżce, i przeciskam się przez wrzosa przyprószone śniegiem, aż docieram do skraju lasu, zostawiając za sobą wrzosowisko. Na wąskiej dróżce prowadzącej w dolinę i dalej do samego domu trzymam się w miarę możliwości trawy i kamieni, by nie zostawiać śladów. To stary nawyk, który nabyłem właśnie tutaj, razem z Melody i naszą starszą siostrą Blanche. Mój dziadek, emerytowany agent MI6, bawił się z nami w długotrwałe, rozbudowane gry w chowanego w tych lasach, pokazując nam, jak ukrywać się w słoneczny lub deszczowy dzień, jak szukać osłony przy dobrym i złym świetle. Uczył nas nazw kwiatów i rozpoznawania dźwięków wydawanych przez ptaki, tak by można było poznać, czy ktoś się zbliża. A także jak rzucać patykami i kamieniami w drzewa, by zmylić pościg, jak zawracać, zwielokrotniać kroki, chodzić w kółko, by trop stał się niemożliwy do śledzenia.

Pewnego dnia zabrał nas na długi spacer do kamiennego kręgu, zrujnowanego, porośniętego trawą i polnymi kwiatami. Dziadek wyjaśnił, że drzewa rosną tam zbyt gęsto, by okoliczni rolnicy mogli wypasać owce, a poza okazjonalnym wędrowcem, który liczył na to, że skończy w pubie, nikt tu nie zaglądał. Krąg widniał na mapach Ordnance Survey, ale dotarcie do niego stanowiło trudność, a będąc w pobliżu malowniczego wybrzeża Tintagel, po co się trudzić? Kornwalia ma pod dostatkiem menhirów, dolmenów i kurhanów z wygodniejszym parkingiem i mniejszą ilością jeżyn, poza tym większość odwiedzających nie przyjeżdżała tu dla historii, ale po to, by cieszyć się morzem.

Dziadek chciał, byśmy pamiętali, że rodzina Trevenów, nawet jej ostatnie amerykańskie odgałęzienie, nie jest tu gościem. Utrzymywał, że Trevenowie w dawnych czasach korzystali z tych kamiennych kręgów, że jesteśmy potomkami ludzi, którzy zbudowali je

pięć tysięcy lat temu. Jego własny dziadek przyprowadził go w to miejsce i powiedział, że Trevenowie nigdy nie powinni zapomnieć o swoich korzeniach, którymi są brąz, kamień i morze.

Melody nawet jako dziecko była zbyt praktyczna, by przejmować się czymś tak ulotnym jak przeszłość i przodkowie, Blanche natychmiast zrobiła z tego romantyczną opowieść. Ja jednak wiedziałem, co dziadek nam wtedy ofiarował, i nie było to podniosłe kazanie o pięknie Kornwalii. Nie było to też zaproszenie do kulturowania dziedzictwa.

To było ostrzeżenie.

Trevenowie trwają dłużej od innych. Trevenowie są okrutni. Mamy skórę przesyconą solą, a ciała pokłute janowcem ciernistym. Kapryśnym bogom oddawaliśmy cześć jeszcze długo po tym, jak chrześcijańscy święci zaczęli się wdzierać na nasze wzgórza. Mamy serca z cyny i umysły z łupku i nie cofamy się przed niczym.

Dziadek służył w MI6, jego dziadek wrócił z Wielkiej Wojny z trzema niemieckimi porporcami kawalerii i bez jakichkolwiek oznak szoku pourazowego, a prapradziadek był ostatnim z wielkich kornwalijskich przemytników. Moja matka pracowała w londyńskim City. Specjalizowała się w fuzjach i przejęciach, dzieliła korporacje i portfele sprytnymi, bezwzględnyymi cięciami. Zmusiła męża, by po ślubie przyjął jej nazwisko, bo odmówiła zamawiania nowej tabliczki na drzwi kancelarii. Jedynym przejawem wrażliwości, jaki kiedykolwiek ukazała przed śmiercią, była miłość do naszego łagodnego ojca. Blanche odziedziczyła jego słodycz, hojność i dobroć. Melody i ja przejęliśmy tylko jego krzywe małe palce – i nic więcej. My, bliźnięta, byliśmy Trevenami w najczystszej postaci.

Ostatnio dużo myślę o tym, kim jestem. Czym jestem.

Gdybym był innym człowiekiem, czy właśnie teraz skradałbym się pośród niemal nagich drzew w kierunku własnego domu? Czy miałbym na gardle cienką czerwoną pręgę – ślad po tym, jak moja

żona niemal mnie zabiła? Albo brzydkie zgrubienie blizny na ramieniu po tym, jak zostałem dźgnięty?

Czy przez lata rozgrywałbym partię, przesuwając pionek za pionkiem na planszy, której krawędzi nawet nie widziałem, a wszystko po to, by mieć ich oboje w swojej mocy?

Wypuszczam powoli powietrze. To bez znaczenia. Nie jestem innym człowiekiem i nie zamierzam się nim stawać.

Chociaż gdy nad mokrym, miejscami ośnieżonym cmentarzem unosi się melodia, niemal chciałbym, żeby było inaczej. Chciałbym być dobrym, zwyczajnym, ciepłym i hojnym kochankiem, który poszedłby za dźwiękiem do jego źródła, powitał je z uśmiechem i otwartymi ramionami. Zamiast tego opieram się o pień drzewa, zamykam oczy i słucham.

Tristan śpiewa.

Nigdy nie słyszałem, by ktoś śpiewał tak jak on, jakby na języku miał własne serce, jakby śpiew nie był prawdziwy, gdyby po wszystkim na ziemi nie zostało kilka kropel tętnicznej krwi. Nie ma w tym udręki, wysiłku czy bólu. Śpiewa jak ktoś, kto bez wahania oddaje ci swoją nerkę. Jak ktoś, kto na mrozie zdejmuje płaszcz i otula nim twoje ramiona.

To zbyt wielkoduszne. Nie zasługuję na to. Isolde też nie. My oboje powinniśmy raczej słuchać pieśni pokutnych albo przytłumionej muzyki operowej w ciemności. Pod tym względem jesteśmy do siebie podobni.

Śpiewa *Hallelujah* i urzeka mnie to, że uważa się za bezradnego króla, za obalonego Samsona. Jest coś niezwykle ekscytującego w dobrym człowieku, który sądzi, że jest zły, w silnym, który uważa, że jest słaby. Diabeł we mnie, ten sam, jakiego miał Saul, chce to w nim podsycać. Chce wyszeptać Tristanowi do ucha, że jest zły, tak bardzo zły, że jest słaby, tak bardzo słaby, by wciąż pozwał mi na to, na co mi pozwala.

Wreszcie otwieram oczy, tak spragniony widoku mojego żołąnierza, że boli mnie to niczym wbite w ciało ostrze. Dostrzegam go na skraju cmentarza, gdy zbiera gałęzie, pewnie na wieczór do kominka. Ma na sobie jeden z moich starych wełnianych płaszczy, kupił go Eliot po tym, jak skrytykował moją kurtkę i jej praktyczne warstwy poliestru pochodzącego z recyklingu. Widok Tristana w tym płaszczu tutaj, w Morois, w miejscu, które tak wiele znaczyło dla mnie i Eliota, sprawia, że mam ochotę znów zamknąć oczy.

Przypomina mi się ostatnia wiosna, kiedy przyjechałem tu na coroczną żałobę, na którą pozwalałem sobie przez lata. Gdy podniosłem wzrok, zobaczyłem Tristana w bibliotece – jego zielone oczy pełne troski, usta rozchylone na tyle, by odsłonić wilgotny błysk języka.

Boże, co ja wtedy czułem...

Gniew, poszarpany jak ostrze piły, i żałoba, z której wciąż sączyła się krew. Pożądanie ostre jak drut kolczasty w moich trzewiach.

Ostrzegałem go i nikt mi nie powie, że było inaczej.

Zza zasłony drzew widzę jedynie fragmenty jego sylwetki – pasma ciemnych, zbyt długich włosów i ramiona okryte wełną. Na dłoniach, tych nieświadomie grzesznych, ma rękawiczki. W ramionach trzyma drewno. Patrzę, jak pochyla się po ostatni patyk, a potem prostuje. Idzie w stronę domu, wciąż śpiewając, a ja podążam za nim jak marynarz za syreną, nie mogąc się powstrzymać.

Ona też tam jest, wiem o tym, czeka na niego. Z włosami w kolorze miodu i ustami o niezwykłym kształcie, stworzonymi, kiedy Bóg był w figlarnym nastroju. Z turkusowymi oczami i rysami tak delikatnymi, że można by pomyśleć, że ma w sobie coś z porcelanowej lalki.

Oczywiście nie jest porcelanową lalką. Lalki nie mordują ludzi.

Cicho zbliżam się do domu, idąc najpierw wśród drzew, a potem obok kaplicy. Zimą w Kornwalii zmierzch przychodzi wcześniej

i łatwo jest skryć się w półmroku, w zimnym cieniu. W końcu zaglądam do oranżerii. I tam ją widzę. Jest w białym T-shircie, moim, i w lnianych spodniach, także moich, z moim pierścieniem na palcu. Światło wewnątrz domu obrysowuje jej sylwetkę perłowymi i złotymi odcieniami. Wygląda jak święta z obrazu, Matka Boska Wiecznych Noży, patronka masochizmu i kłamstw. A Tristan, który całuje ją nad namiętnością gałęzi, zanim zaniesie je do biblioteki, mógłby być rycerzem z witrażu. Łśni czystością i dźwiga na barkach ciężar rycerskości stworzony dla baśni, lecz ukształtowany przez wojnę.

Ciekawe, co o mnie myślą po miesiącu mojej nieobecności. Teraz, kiedy znają prawdę o mnie. Isolde – wierna święta, Tristan – dzielny bohater. Mieli czas, by poskładać wszystko w całość... Może nie wszystkie elementy, ale wystarczająco dużo. Wystarczająco dużo krwawych, poszarpanych fragmentów.

W Lyonese sądzą, że jestem wściekły, że mam złamane serce. Mark – niedostępny władca, największy z dominatorów, zdradzony w wielkim stylu przez dwoje uległych: żonę i ochroniarza. Aż trudno w to uwierzyć. Mark, który nocami siedzi w sali z nieprzenikniętym wyrazem twarzy, który od chwili, gdy żona odeszła do innego mężczyzny, nie dotknął nikogo ani dla zabawy, ani dla seksu.

Chyba liczyłem na zbyt wiele, sądząc, że ich ucieczka pozostanie niezauważona, zwłaszcza po tym, jak następnego ranka znaleziono mnie w gabinecie przywiązanego opaskami zaciskowymi do fotela.

Myślę, że Sedge zachowałby milczenie, woląc, by jego niechęć do mojej żony i mojego ochroniarza sączyła się w ciche szczeliny rozmów i tliła się w bladym, szarym błysku jego spojrzenia. Ale Andrea od początku nie znosiła tej części planu, tej z Tristanem i Isolde, i biorąc pod uwagę wszystko, co się wydarzyło, najwyraźniej miała rację.

Tak czy inaczej, nie widziała powodu, by chronić reputację Isolde i Tristana, dlatego w ciągu jednego dnia wieść rozeszła się

daleko poza klub, poza Waszyngton, aż po krańce świata. Członkowie Lyonesse od São Paulo po Singapur wiedzieli. Tak samo jak inni właściciele klubów BDSM: z Montrealu odezwał się do mnie dominator Isabelli Beroul, a Nimue zadzwoniła z radą, która brzmiała jak zdanie z chińskiego ciasteczka z wróżbą albo z jednej z powieści Tristana o smokach: „Dobrzy władcy są miłosierni, ale także sprawiedliwi”.

Sam, kurwa, prezydent Stanów Zjednoczonych zadzwonił, żeby złożyć mi kondolencje. A kiedy przez zaciśnięte zęby zapytałem go, czy w tym scenariuszu to przypadkiem nie on był zbiegłym ochroniarzem, tylko się roześmiał. „Tak, ale różnica jest taka – powiedział cicho – że mąż Greer nigdy by nam nie pozwolił uciec”.

Tak więc cały świat wie, co wydarzyło się tamtej nocy.

Zostałem zdradzony. Odrzucony. Upokorzony. Młoda żona i pełen zapału ochroniarz – to dość dziwne wybory dla kogoś takiego jak ja – wymknęli się nocą, zabierając ze sobą moją dumę i moje serce (choć prędzej dałbym się znowu przywiązać opaskami do fotela w gabinecie, niż przyznał otwarcie do tego ostatniego).

Zatem, mój śpiewający Tristanie, kto kogo przywiązał do kuchennego krzesła? Kto skradł tron i obciął włosy? Myślałem, że jestem każdym złoczyńcą, każdym Saulem i każdą Dalilą, a jednak oto ja – złamany, zdetronizowany. Patrzę na dwoje ludzi, którym z niechęcią – o Boże, nawet nie mają pojęcia, z jak cholerną niechęcią – ofiarowałem swoje uczucia, podczas gdy oni się całują, noszą moje ubrania i palą w kominku moim drewnem.

Tristan znika w bibliotece, a Isolde stoi pośrodku domu. Widzę, jak powoli przesuwa dłoń do obojczyka. Patrzy w pustkę, nie skupia wzroku na niczym szczególnym. T-shirt, który ma na sobie, jest na nią zdecydowanie za duży, odsłania smukłą szyję i zagłębienie obojczyka, opada z drobnych, zgrabnych ramion. Nikt, patrząc na nią teraz, nie domyśliłby się, że pod tymi luźnymi ubraniami kryją

się napięte mięśnie drapieżnika, a elegancka dłoń spoczywająca u nasady gardła to ta sama, która zostawiła bliznę na mojej szyi. Ta sama, która przecinała tętnice, wzniesła pożary, zatrutowała napoje i robiła to bez cienia wahania. Mój mały demon. Moja mała morderczyni. Fala czułej dumy wzbiera we mnie na wspomnienie, jak walczyła ze mną w gabinecie tamtej nocy, kiedy odeszła. Wówczas przeszkodził nam Tristan (na sekundę straciłem czujność), ale z radością walczyłbym z nią godzinami. Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, dopiero się uczyła, jak trzymać nóż, jak stawać naprzeciw kogoś, kto go dzierży, a powalenie jej było wtedy równie łatwe jak zrobienie kroku naprzód. A teraz... spójrzcie tylko na nią.

Cofam się w cień rzucany przez magnolie akurat w chwili, gdy nagle czujna unosi wzrok. Podchodzi bliżej i przeszukuje półmrok za oknami, każdy nerw ma napięty i gotowy. A ja, o Boże, tak chciałbym teraz podejść i pokazać jej twarz tylko po to, by zobaczyć, co robi.

Walczyłaby? Uciekła?

Na pewno nie stałaby sparaliżowana ani nie próbowałaby się przypodobać. Nie moja żona.

A Tristan? Podszedłby i... I co? Pomógłby jej znowu uciec? Spróbowałby o nią walczyć, co byłoby równie urocze, jak i zbędne?

Ale nie wychodzę z cienia. Trwam w ukryciu, całkowicie nieruchomy, dotąd aż Isolde zamyka oczy i potrząsa lekko głową, jakby karciła się za to, że widzi rzeczy, których nie ma. Nie powinna się karcić – ma rację, za drzwiami kryje się niebezpieczeństwo. Z bliska widzę ciemne podkówki pod jej oczami i ostry rysunek szczęki. Ostatni miesiąc odcisnął piętno na niej tak samo jak na mnie.

Nawet nie próbuję tłumić gorzkiej satysfakcji, jaką mi to daje.

Potem wchodzi do biblioteki, a ja z westchnieniem zadzieram głowę ku niskim, rozłożystym i oblepionym w połowie roztopionym śniegiem gałęziom magnolii nad sobą. Moja dłoń sięga ku

małej figurze szachowej, którą zacząłem stale nosić przy sobie. To królowa wyrzeźbiona z zimnego twardego kryształu.

Co ja tu właściwie robię? Na co liczyłem? Że wejdę do środka, a oni padną na kolana i będą błagać o przebaczenie? Że przeproszą za coś gorszego niż zdrada, za swoją nieobecność?

Że pogodzą się z moim planem zabicia wuja Isolde i z tym, że wciąż mam taki zamiar? Że zmanipulowałem ich oboje, a w przypadku Isolde robiłem to przez lata?

Nie. Może i darowała mi życie, może nawet mówiła szczerze, kiedy wyznawała, że mnie kocha, ale i tak uciekła. Wszystkie wyznania miłości od niej i od Tristana, wszystkie obietnice wierności trafił szlag. Wystarczyło, że ktoś otworzył sejf, i zniknęli.

Gdyby Isolde poderżnęła mi gardło, bolałoby mniej.

Przecież jestem realistą, nie powinienem się łudzić, że cokolwiek osiągnę, przyjeżdżając tutaj. Nie zasługuję na ich przebaczenie ani zrozumienie i nigdy nie będę zasługiwał, bo zrobiłbym to wszystko jeszcze raz. I będę robił to dalej.

Przyjechałem do Morois, bo wczoraj miałem sen: stałem w ogrodzie smaganym wiatrem i patrzyłem na liście wiciokrzewu zaplątane w martwej trawie. Wciąż czuję zapach mokrych kamieni w murach ogrodu, wilgoć ziemi przesiąkającą ubranie. Pamiętam fakturę liści między palcami. Były kruche i lekkie, tak różne od aksamitnych płatków lata.

To tyle, jeśli chodzi o wiciokrzew. Pech i tak nas dopadł.





Obudziłem się i zarezerwowałem lot do Anglii. Tylko po to, by upewnić się, że moi słodcy cudzołóżnicy wciąż żyją. By zobaczyć na własne oczy, że nie leżą pogrzebani gdzieś nad morzem.

Ale teraz, gdy już ich ujrzałem, powinienem odjechać. Powinienem odejść. Tak postąpiłby ktoś, kto myśli logicznie. Nie mam czasu, by zajmować się dwojgiem ludzi, którzy myślą, że potrafią się dobrze ukryć.

SIĘGNIJ PO WIĘCEJ




**Papierowe
Serca**

-  Wydawnictwo Papierowe Serca
-  wydawnictwopapieroweserca
-  papieroweserca
-  papierowe_serca